

Joanna Kuklińska

Proszę pani

I.

– Skąd masz pewność, że to ona jest sprawcą tej zbrodni?

– Mojejcą, psze pani. Ona jest mojejcą. Tylko ona była w klasie, gdy ktoś zniósł Cynamonka.

– Krzysiu, a może narysujesz Cynamonka jeszcze raz? I dzięki tobie odzyska utracone życie?

Marta wielokrotnie zastanawiała się, dlaczego wybrała ten zawód. Mogła zostać kasjerką albo pilotką. Mogłaby teraz unosić się gdzieś wysoko ponad ziemią, z dala od tych małych, niewychowanych gamoni. Mogłaby. Rozważania nie potrwały jednak zbyt długo, bo z tego bujania w obłokach wyrwał ją przeraźliwy krzyk Stasia, któremu Władzio wrzucał właśnie małe, różnokształtne klocki Lego do majtek.

– Władziu, zostaw Stasia. Żuczku, klocki służą do budowania, a nie do...

– Ależ proszę pani. Staś powiedział, że był w toalecie i postawił kloca. Ja doprawdy nie wiem, co to miało znaczyć, ale chciałem uzupełnić mu ubytek klocków. W majtkach.

Gdyby ktoś zapytał Martę jeszcze raz, czy zgodzi się na bycie wychowawczynią w zerówkach, zastanowiłaby się ponownie. Na pewno nie zgodziłaby się na przyjmowanie do jej klasy jakiegokolwiek nauczycielskiego dziecka, a już na pewno nie zgodziłaby się na Stasia, syna Bogusi Majewskiej, najbardziej wymagającej polonistki wszechczasów. Jednak mleko się wylało. Za późno na te dywagacje, gdy dwudziestka dzieci kręci się po sali, szukając co by tu zmalować.

Z opresji wyrwał Martę dzwonek. Jak dobrze, że to już koniec na dziś. Ustawiała maluchy w pary, wyciągnęła Marysię spod ławki, bo ta wystraszyła się dzwonek (oczywiście Marysia, nie ławka, ławka stała niewzruszenie), rozdzieliła Patryka i Miłoszka, bijących się o stanie w parze z Izunią i, nareszcie, oddała dzieci do świetlicy. Dobrze, niech się Gabi, świetliczanka, teraz martwi o te maluchy. Zaraz zaczną przychodzić po nich rodzice i będzie miała trochę spokoju.

2.

Marta usiadła w rozłożystym, granatowym fotelu i przyrzekała się warstewce kurzu na książkach. Przypominał

jej delikatne płatki śniegu opadające na auta. Poczula, jak zdejmuje buty i bosą stopą wskakuje na swojego fiata pandę, aby tańczyć na śniegu. Jej żółta sukienka wirowała pięknie w rytm melodii z „La la land”, a przechodnie zatrzymywali się, aby podziwiać ten występ. Zaraz, zaraz, coś tu nie gra. No nie. Marta otworzyła oczy. Zobaczyła Łatkę, swojego podstarzałego cocker spaniela, liżącą mokrym językiem jej gołe stopy. No tak, zasnęła. Ma prawo być zmęczona. Która godzina? Piętnasta. Dobrze. Bartek – jej mąż – wróci z bliźniakami z treningu za jakąś godzinę. Jak to dobrze, że w rodzinie istnieją męskie pasje, takie jak judo. Chłopaki we trójkę trochę się posiłują, poturlają i poturbują, a potem wrócą do domu głodni i spokojni. Marta kochała to połączenie – uwielbiała karmić swoich mężczyzn, przygotowywać wydumane potrawy zaspokajające ich rosnące potrzeby, a do tego bardzo lubiła, gdy wszyscy byli w domu, ale bez zbędnych hałasów. Po prostu po całym dniu w szkole potrzebowała ciszy, herbaty i książki. I swojego męża. Zdecydowanie Bartek był jej buforem i lekiem na całe zło. Przy nim zapominała o powodziach, zamieciach i Stasiu Majewskim. Dobrze mieć takiego męża. Chociaż ich początki zaliczały się do bardzo burzliwych i o mały włos nie skończyły się oblaniem matury i wyjazdem do Indii, to teraz, po latach, nie miała już wątpliwości, co do słuszności swojego wyboru. Fajny z niego facet. A jak tańczy! Och, dobrze, że nie krępuje się tłumu gapiów. Jego dłoń delikatnie łapie ją w tali i pozwala się oprzeć, odchylając głowę do tyłu. Spadający śnieg pięknie osadza się na jego garniturze, gdy nonszalancko obraca Martę na dachu fiata pandy i... Dzwonek do drzwi? Skąd u licha dzwonek do drzwi na parkingu. Boże, znowu zasnęła.

– Cześć mamo, to my! To znaczy ja, bo Piotrek z tatą coś tam robią w garażu. Nawet nie uwierzysz, jaki łomot spuściłem tacie na macie! O, słyszałaś ten rym? Pani z polaka powiedziała, że mam potencję! Nie, po-ten-cjał. Tak, potencjał! Mamo, a jest obiad?

3.

– Jak ci minął dzień? – spytała Marta męża, gdy ten, prosto spod prysznica, wskoczył w końcu pod koldrę. Chłopcy

jeszcze odrabiali lekcje albo oglądali głupoty w internecie, ale Marta, dla świętego spokoju, wolała się trzymać tej pierwszej wersji. Popołudnie spędzili na treningu, później musieli się umyć i odpocząć, więc czas na lekcje znalazł się dopiero późnym wieczorem. I tak cieszyła się, że póki co, odpukać w niemalowane, chłopaki bez specjalnej namowy wypełniali swoje szkolne obowiązki. Dzięki temu w domu zapanowała cisza, spokój i przyjemny półmrok.

– A wiesz, że dobrze. Paweł jest coraz lepszy na macie. Jak z nim walczyć to daję mu fory, ale obawiam się, że niedługo taryfa ulgowa nie będzie już potrzebna. Za to Piotrek to intelektualista, co też dziś pokazał na treningu, powalając kolegę w dwie sekundy, bo zamiast prędkości i siły mięśni, wykorzystał sekwencję kilku chwytów. Nieźle nam się dzieciaki udały. No, a poza tym to nudno. Szef od rana był nie w sosie, więc wszyscy chodziliśmy koło niego na paluszkach. A jak u ciebie? Czy wielmożny Stanisław wygłosił dziś jakąś mowę?

– A żebyś wiedział! – krzyknęła Marta, śmiejąc się od ucha do ucha. – Dziś zajmował się etymologią stwierdzenia „stawić klocka”. Wiesz, jak siedzę z nimi to jestem strasznie zmęczona. Ale jak tak sobie teraz myślę, to smutno by było bez tych małych karaczanów.

4.

– Przepraszam, proszę pani, czy ma pani chwilę? – do klasy zajrzała rudowłosa Natalia z klasy 3a lub b.

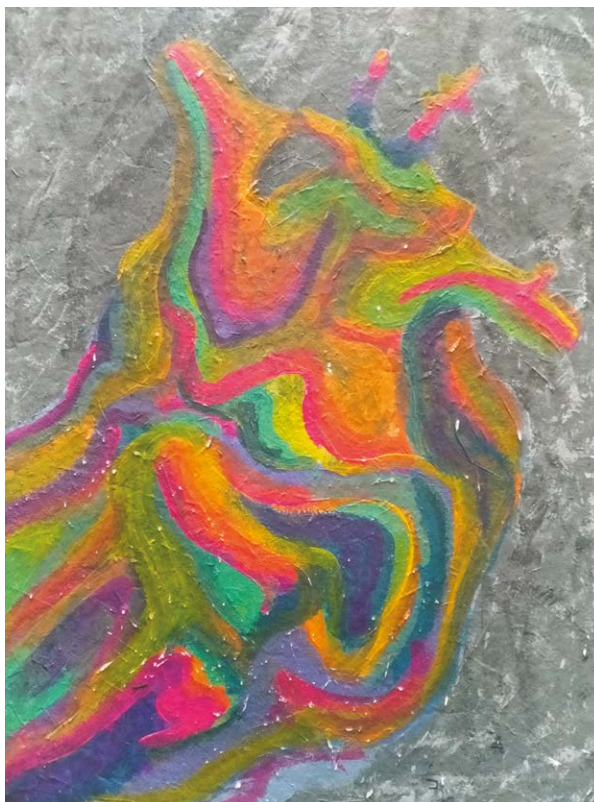
– Tak, proszę, maluchy mają teraz angielski, do dzwonka mam jeszcze chwilę wolnego. Czy coś się stało?

– Nie. To znaczy tak. Proszę pani, ja na korytarzu znalazłam to. – Natalia wyciągnęła rękę zza pleców i oczom Marty ukazała się przezroczysta, foliowa reklamówka, z czymś

niezidentyfikowanym w środku. To coś niezidentyfikowanego niestety przywodziło na myśl tylko jedno – zebraną z trawnika psią kupę.

– Ojej, fuj, czy to jest to, co ja myślę? Jeśli tak to trzeba to szybko wyrzucić do śmietnika. I umyć ręce. Koniecznie z mydłem.

– Proszę pani, to nie to. To ładnie pachnie. A w smaku to chyba jest budyń czekoladowy.



Ewa Maksimowicz / PLSP w Supraślu

W tym momencie Martę zamurowało. Po pierwsze – skąd, u licha, pod jej salą torebka foliowa z budyniem czekoladowym/psią kupą. Po drugie – dlaczego, matko kochana, Natalka wie jaki jest smak tego czegoś. Wolała nie pytać, wpatrywała się więc w uczennicę z szeroko otwartymi oczami i zastanawiała się, jakie są procedury na sytuacje takie jak ta.

– Proszę pani, czy mam to zanieść pani dyrektor? Bo to przecież poważna sprawa. Może ktoś handluje w szkole nielegalnym budyniem. Mieliśmy o tym na lekcji. Yyy, to znaczy nie o handlu budyniem, ale o tym, że nie powinniśmy nic sobie sprzedawać w szkole, bo to nielegalne. A my nie chcemy iść do wię-

zienia. Ale to w sumie mogłoby być ciekawe. Czy wie pani, że w więzieniach można się uczyć? Ale ja mam dopiero dziewięć lat, więc jeszcze nie można mnie aresztować. Chociaż czytałam historię, że w jakimś stanie w Ameryce...

Przydługi wywód Natalki został przerwany dzwonkiem. Wraz z nim do klasy wbiegła zerówka zupełnie nie zwracając uwagi na obcą uczennicę. Wygląda na to, że anglistka nie mogła wytrzymać z nimi całej godziny i odprowadziła ich tak, aby równo z dzwonkiem weszli do sali. Nic dziwnego, kto by z nimi wytrzymał.

– Płosię pani, heloooj, maj nejm ar Patrik, ukradli! – Patryczek wyglądał na bardzo zaabsorbowanego minioną

lekcją, ale również zaniepokojonego jakąś domniemaną kradzieżą.

– Patryk, spokojnie i po kolei. Tylko po polsku. Co i komu ukradli?

– Mi, torebkę.

– Dobrze – sprawność odpowiedzi Patryczka zaskoczyła Martę, która przywykła do bardzo rozwlekłych opowieści maluchów. – A co to była za torebka i czy wiesz kto ją ukradł?

– Moja mamusia duzio placuje. Ma takiego pana siofeja i on wiezie ją i jej kolezianki do hoteli. I one tam ładnie się ubiegają i opowiadają o pieniądzech. A ludzie psychodzą ich słuchać. Takie one są mądje. Ja to jeście citać nie umiem, a moja mamusia już książki pisze o biznesie. Takie beś objazków, tylko z litejkami.

Marta stwierdziła, że za wcześniej pochwaliła w myślach Patryczka. Trzeba się szybko dowiedzieć, co się stało, bo reszta klasy zaczyna już powoli rozrabiać. I to z nożyczkami w rękę, a to jest najwyższy poziom rozrabiania.

– Klasa, odłóżcie nożyczki, to, że z wami teraz nie rozmawiam, nie oznacza, że was nie widzę! Widzę! I zaraz wstawię smutne buźki, jeśli się nie uspokoicie! Patryczku, ciesz się z sukcesów twojej mamy, ale chcę się dowiedzieć, co z tą kradzieżą.

– No toś mówię. Mamusia pojechała i ja z siostrą zostaliśmy z tatusiem. I tatuś też jest siupej. Ziamawia pizzę na obiad, pozwaja ogądać w nocy bajki i jobi pyśne jedzenie do szkoły. No i ktoś mi ukjadł jedzenie! Bo na śniadanko tatuś zjobił kanapkę z chlebem, kotлетem z zamjaziarki i jabluszkiem. Pycha byjo, mama takich nie jobi. A na djugie śniadanie zjobił budyń. Ciekoladowy...

5.

Bartek śmiał się do rozpuku słuchając historii o zaginionym budynku czekoladowym w foliowej torebce. Kochał tak spędzać wieczory, przytulony do swojej pięknej żony, słuchając jej żalów związanych z ciężkim dniem w pracy, które dla niego brzmiały raczej jak komedia. No dobrze, patrząc na zmęczenie Marty, to może raczej jak tragicomedia albo nawet satyra.

– Widzisz kochanie jaki tobie się wspaniały mąż trafił? Jak kilka razy musiałem sam ogarnąć chłopców do szkoły to robiłem im normalne kanapki z żółtym serem. I nawet gotowałem ryż, żeby mogli zjeść z kotлетem. Nigdy nie wywinałem ci takiej akcji.

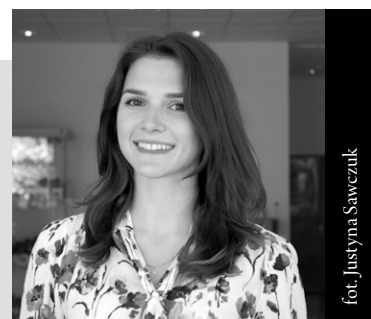
– O proszę, najdroższy, czyżbyś zapomniał już, jak kiedyś zostałeś z chorymi bliźniakami w domu, gdy ja musiałam iść do pracy? Mam ci przypomnieć twój popisowy numer?

– Martuś, czy ty musisz wywlekać teraz stare brudy? A poza tym, jak wróciłaś to chłopcy już lepiej się czuli. Czyli podziałało. A skąd ja miałem wiedzieć, że czopki to nie są takie zwykłe tabletki. Rzeczywiście były jakieś duże, ale popili wodą i jakoś poszło.

I tak leżeli sobie przytuleni, wspominając tę i wiele innych historii z ich życia. Marcie przeszło przez myśl, że to niezwykle, że choć są jeszcze w miarę młodzi to mają już tyle pięknych wspomnień. Pomyślała też o swojej klasie i jakoś ciepło zrobiło jej się na sercu. Choć dopiero skończył się wrzesień ona już naprawdę pokochała te dzieci. Dorobiła się też z nimi wielu historii, mogących konkurować nawet ze zjedzeniem czopka.

JOANNA KUKLIŃSKA

– nie pisarka i nie dziennikarka, za to dobra obserwatorka życia codziennego obdarzona sporą dawką poczucia humoru i kreatywności. Z zawodu położna i psycholog. Fanka życia wśród ludzi, aromatycznej kawy i książek, po których człowiekowi robi się lepiej na sercu. Ma nadzieję, że pewnego dnia stanie się autorką jednej z nich.



fot. Justyna Sawczuk